



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austrjackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Pan Innocenty, siedząc na werendzie swojego letniego mieszkania z wyciągniętymi nogami przed siebie, ziewał od czasu do czasu i, przeciągając ramiona, powtarzał w małych przerwach milczeniu:

— Och—nudy, nudy!

— Czy pan już dawno opuściłeś Warszawę i oddałeś się rozkoszom willegiatury? — zapytałem z uśmiechem.

— Dobre już dwa tygodnie, panie dobrodzieju.

— Na Boga! cóż będzie za miesiąc, półtora? — Patrząc na dzisiejsze usposobienie pańskie, słuszna mam obawa, ażebyś pan czasami czarnej melancholii nie dostał, a jakkolwiek nie ma w okolicy skał przepaściwych i zdradliwych głębin rzecznych—sucha wierzba zawsze znaleźć się może.

Pan Innocenty uśmiechnął się.

— No—tak źle ze mną nie będzie.—Po pierwsze: że, gdyby podobne rozkosze jeszcze z tydzień się przeciągnęły, to pierwszym lepszym pociągami, nie żegnając się nawet z Kłocią ani dzieciakami, ucieknę do Warszawy; powtóre: że, dotychczas nienajęte letnie mieszkania wynajęte zostaną, a wtedy już kłopotu nie ma i, choćby z kobietami, to partya winta się ułoży.

— Z kobietami?—spytałem.

— Alboż kobiety—mruknął pan Innocenty—nie są stworzone na obraz i podobieństwo nasze? Między już panie dobrodzieju, te pełne niesprawiedliwości czasy, w których monopol wszelkich przyjemności i rozrywek do nas tylko należał. I bardzo dobrze! Co jabym, na przykład, robił na willegiaturze przed laty, dajmy na to, pięćdziesięciu, gdyby nie było męzkich partnerów, a niewiasty — jeżeli uczone, zajmowały się układaniem zielników, jeżeli nabożne—szepały pacierze, a jeżeli litościwe—szy-

ły bieliznę dla obdartsów, rozczuły się nad zakutymi głowami chłopskich dzieciaków ucząc ich: kim są, kim być powinni, i odgrywając rolę Pielgrzyma w Dobromilu?

— Pan byś się nudził.

— Okropnie!

— Jesteś więc pan zwolennikiem równouprawnienia?

— Naturalnie!

— Żona pańska gra w winta?

— A—nie!...

— Dla czego?

— Po co to, panie, dla niej?—Czy mało ma ona zajęcia koło domu—a gospodarstwo, a dzieci, a ja? Wyznam panu pod sekretem, że przez pewien czas zajmowały ją kombinacje tej gry genialnej, lecz wytłumaczyłem, że to nie dla niej zabawa, nie dla kobiety.

— Czy spodziewane partnerki pana nie są kobietami?—spytałem.

— Jakto?—zwrócił się do mnie pan Innocenty.—No—odezwał się po chwili, ezerwieniąc lekko—nikt zaprzeczyć ich płci niewieściej nie może—ale...

— Ciekawy jestem zakończenia zdania pańskiego—szepnąłem.

— Nie są moimi żonami.

— Rozumiem!

— To, panie, wielka różnica!—dokończył zwolennik równouprawnienia.

Pan Innocenty był szczerzy i bodaj czy nie należał do tej większości mężczyzn, którzy hołdują wszelkim postępowym ideom, byleby tylko one nie przekraczały progu ich domu.

— Pan dobrodzieju z Warszawy przyjeżdża?—zapytał po chwili.

— Tak—z Warszawy.

— I cóż tam słychać?—Nowin żadnych, ciekawości żadnych nie ma?

— Nie wiem jakich pan chcesz, bo jeżeli wintowych, to niemogłbym niemi panu służyć.

— No wiem, że pan się znasz na tem, jak ja na robieniu konfitur z ananasa. Ale tak, ze spraw bieżących może coś jest do zanotowania?

Nie wiele, lecz znalazło się zawsze trochę wiadomości z bruku warszawskiego, któremi musiałem obdarzyć nudzącego się pana Innocentego.

Niespodzianką dla nas i—szczerze powiemy—nie miłą, był mały artykuł w *Gazecie Warszawskiej*. Staruszka owa, której już z wieku samego poczesne miejsce między innymi naszymi dziennikami należy się, od kilku lat zaczęła się odmładzać, krzepić się na siłach i dzielnie na rękę młodszą brać swoją wyzywać. Cieszyliśmy się stuleciem tego nieklamania i o tem odrodzeniu się stuleciokodziesiątletniej staruszki, wspomnieliśmy w kronice naszej, zachęcając czytelników do bliższego zapoznania się z nią, życząc ażeby na jej tytułowej karcie, coraz więcej lat przybyło, boć to jest jedna z najstarszych gazet polskich, w której łamach zawarł się nie mały obszar wiadomości, do której nieraz historyk, pisząc dzieje kraju, zajrzeć się nie zawaha. Aż oto, odmładzająca się wciąż staruszka, najniepotrzebniej tańczyć zaczęła—i—gdyby to jeszcze nieskończoność, zrozumielibyśmy tę zachciankę, to prawdziwy płas dla niej, ale nie—prababce zachciało się wystąpić w balecie i to dzisiejszym, naszym balecie, nie onym dawnym, gdzie tancerz z mieczyskiem a tancerka z kłębkami nici i w długiej sukni występowała. Nie przeczę, że ruchy naszych czasów tancerzy, którym strój dla przyzwoitości jest tylko dodany, więcej mają powabu i wdzięku, lecz cieszyć się, że publiczność nasza coraz więcej w tej rozrywek smakuje i wyprowadzać ztąd dość dziwne wnioski—to dla nas jest zupełnie niezrozumiałe. Bo ważmy. Pisząc o gościnnych występach w balecie, *Gazeta Warszawska*, nie ukrywa zadowolenia, że „obudziły one na nowo słabnące u nas zamiłowanie do sztuki choreograficznej.“ Po tej radości z wrastającej chyba bezmyślności tłumu, następuje niemniej ciekawy wniosek czy uwaga: „kto wie, czy cesarz Konstantyn nie miał słuszności, wypę-

dzając z Rzymu wszystkich filozofów, a zostawiając tancerzy, pierwsi są bowiem nudni i rozsiewają niebezpieczne idee, drudzy (dla czego nie ci?) zaś są weseli i zabawiając tłum, nie dają mu czasu na czeze moralizowanie, które zwykle sprowadza zgubne następstwa.“

Wybacz, szanowna prababko, ale tych słów nie spodziewaliśmy się po tobie. Dla nas był balet zawsze tylko koniecznym, jedną z tych rozrywek, bez której obejść się nie można, jedną z tych sztuk, które złamanego szeląga nie przyniosą i jeżeli nie popsują dojrzałych umysłów, do umoralnienia młodocianych nie przyczynią się niczem. Dla nas byłoby smutnem, żeby młodzież smakowała więcej w obnażonych nogach baletniczek, niż w poważnych togach greckich filozofów. Jeżeli *na nowo* budzi się w nas słabnące zamiłowanie do sztuki choreograficznej, to zwracaj uykających z Rzymu filozofów, a nie lękaj się ich idei ni ich złych następstw. Nudni są? Zapewne!—Kto weźmie do rąk Platona, napatrzywszy się na młynki napowietrzne prima-baleryny?—Może stać się z czasem i Wiliam nudny i Juliusz nudny, ale to nie racya, by ich precz za prógi miasta wyrzucać. Wtedyby właśnie zapanowały złe idee i byłyby zgubne następstwa takiego wyświecenia. A do złego nie potrzeba namawiać, przychodzi ono bez nas, tylko jakoś dotąd niezbyt chętnie ramiona doń wyciągamy, ty zaś, prababko, cieszysz się, gdy jest przeciwnie. Nie, to nie twoje zdanie, zanadto byś się odmłodziła. Pozwoliłaś komuś za siebie przemówić i ten ktoś przemawiał przez twoje usta, ale nie twoim głosem. Tak przynajmniej mi się wydaje, choć zresztą w to wierzyć; ktoś skłamał, szanowna matrono, i zdziwił nie mnie tylko jednego, albowiem i wiejszy zwolennicy twoi, z którymi spotykałem się w tym czasie, radością twoją zdumieni zostali.

Może jednak niekiedy i kłamstwo przyjemność sprawi.

— To także nowina!

— Ale tak bywa.

Gdym przed paru tygodniami gawędził z wami i gdy z porządku rzeczy wypadło mi i o sławnym wyścigu wspomnieć, który był *dekofiturą* dla naszych sportmanów, hekatombą dla ich wierchowców, mimowoli rzuciłem pytanie, a gdzie było Towarzystwo opieki nad zwierzętami? Wówczas niegodziwy chochlik jakiś szepnął mi do ucha, że kilku członków czy członkiń tego Towarzystwa znajdowało się na placu wyścigowym. Przeczuwałem kłamstwo, napędziłem zuchwalea, mimo Galileuszowych słów jego i—nie zawiodłem się. Oddział tutejszego Towarzystwa opieki nad zwierzętami, celem pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej o znęcanie się nad końmi tych jeźdźców, których konie padły w wyścigu dystansowym, zwrócił się do Towarzystwa wyścigów konnych z prośbą o wskazanie nazwisk i adresów tych panów. Rzeczona sprawa może być i polubownie załatwiona, albowiem Towarzystwo opieki żąda od uczestników niefortunnego wyścigu kompensaty dla całego rodu końskiego, to jest, złożenia pewnej sumy, dla założenia lecznicy dla koni. Wrazie jednak nieuwzględnienia słusznych żądań towarzystwa przez sportmanów, których konie padły, Komitet Towarzystwa wystąpi niezwłocznie na drogę sądową, oskarżając jeźdźców o znęcanie się nad końmi.

Tak być powinno!

— A jeżeli nie będzie? jeżeli rozmaite względy i względziki górę wezmą nad obowiązkiem? jeżeli nasze „niechaj-no!“ znowu z całą mocą się odezwie?—szepce mi chochlik...

— Precz, nie Boże stworzenie! Kto raz skłamał, na wiarę po raz drugi nie zasługuje—wołam.

Uciekł.

— Ach, nudy, nudy!—powtarza pan Innocenty, siedząc z wyciągniętymi nogami przed siebie na werandzie letniego swojego mieszkania.

Doprawdy, że straszną chorobą być muszą owe nudy.

Czy nie masz na to rady?

Hm! inni znajdują na to lekarstwo i dobrze im się dzieje. To dziwna, że my tak skłonni do naśladownictwa tych innych, biorąc od nich to i owo, zawsze jakoś pomylimy się w wyborze. Zachciało nam się np. „Corsa kwiatowego“ cóż z tego, gdy

ono było lichym plagiatem tej francuzkiej zabawy. Słuszną robi uwagę *Prawda*, że „chyba ten wypadek nie zdarzył się nigdy w świecie, ażeby jakkolwiek naśladownictwo dorównało oryginałowi.“ W krajach południowych w wysokim stopniu jest rozwinięte zamiłowanie do kwiatów, hodują je od dzieciństwa, kochają niemal, na tym więc punkcie mogła się wytworzyć i ta zabawa kwiatowa, w której biorą udział nie uprzywilejowane jednostki, lecz masy całe ludności, z kąd wir, zamęt, szaf, życie, które nas odurza, upaja i—zachęca do spróbowania tej wesołości u siebie.

Ale cóż, nie każda roślina na nasz grunt przeniesiona być może — próbujemy zresztą tego, co tylko bawi, unikamy zaś tego, co nieco trudu, nieco pracy wymaga, choć w następstwie mielibyśmy rzeczywiste zadowolenie, użyteczność połączyłaby się z przyjemnością i, zamiast straconych na marne drogach a tak krótkich chwil życia, zamiast nudzić pana Innocentego, zapełnilibyśmy pustkę serca i głowy a i bliżnim swoim pewną korzyść przynieśli. Jeżeli mamy naśladować, to naśladowujmy w tem, co jest dobre i co u nas lepiej od „Cora“ wszystkich przyjąć się może, byle wola była a chęć potemu.

Odczytałem panu Innocentemu bardzo ciekawy kawałek z tytułowany: *Na czasie*, umieszczony w *Kuryerze Codziennym*, a napisany przez Józefa Waśniewskiego, który sobie na wilegiaturę pojechał do Laponii.

To mi odpoczynek, co się zowie!

Nasz podróżnik wspominając o rokrocznych wyjazdach naszych do bliższych lub dalszych okolic kraju rzuca pytanie: dla czego nie ma dotąd u nas klubu turystów, którzyby po powrocie z wycieczek przywozili z sobą do domu notatki o doznanych wrażeniach, studia pisane, rysowane, wreszcie fotografowane. Z takiego materiału zebranego następnie przez rękę umiejętną i w pewien ład ułożonego, mogłaby powstać cenna książka, jako przyczynek do etnografii i etnologii. Mamy sportowian, którzy dalekie nawet przestrzenie przebywają na rowerach lub pieszo, czy niezego oni dostrzedz nie mogą nad ruch kół swoich żelaznych rumaków i stóp własnych; czy nie godnego zanotowania znaleźć nie umieją, coby mogło rozszerzyć tak ubogą u nas literaturę krajoznawczą?

I rzeczywiście, czy który z nas, wybierając się, choćby do Ojcowia lub w góry Świętokrzyskie, potrafi dobrze nakreślić marszrutę i wskazać, co na danej przestrzeni jest godnego widzenia, gdzie zatrzymać się, gdzie zboczyć wypada dla obejrzenia jakiegos pamiątkowego miejsca lub odznaczającego się pięknnością swoją krajobrazu?—czy mamy choć jednego dobrego przewodnika, jedną książkę dokładną, której moglibyśmy zupełnie zaufać?—Jakże inaczej się dzieje w krainie skał poszarpanych, dróg przepaściowych, i białych niedźwiedzi. Nie tylko krajowicy, który doskonale zna swoją ziemię ale i obcy turysta łatwo zorientować się tam może, bo mu pierwszy lepszy podręcznik wskaże, dokąd i którędy się udać, gdzie się zatrzymać, by mieć nocleg wygodny, co jest godne widzenia a co ominąć można.—Dla poznania rodaków swoich, jak się to tam robi, p. Józef Waśniewski przytacza jedną ciekawą książeczkę, która zawiera sprawozdanie szwedzkich turystów z r. 1894 (Svenska Turistforeningens arsskroift för ar 1894).

„Książka ta o 474 stronicach dużej ósemki, z 65 doskonałemi reprodukcjami ładnych i malowniczych widoków z różnych okolic Szwecyi, oraz z trzema tograficznymi mapkami.

Po za przemową do czytelnika i zwykłym działem sprawozdawczym znajdujemy 38, wyraźnie trzydzieści ośm artykułów mniejszych lub większych, z podpisami autorów, o treści najrozmaitszej, zawsze atoli mającej związek z przedmiotem zasadniczym. Bierzemy na chybił trafił artykuły, krótre tytułami już mogą dać pojęcie o całości. A więc: „Wycieczka do lasów Värmlandii“ przez K. B. Wiklunda; „Wody rybołówstwa państwowego w Pitea, Arvidsjaur, Arjeplog“ (Laponia) przez Axela Orsardinsa; „komunikacye w Laponii“ przez Fryderyka Swnoniusa; „Z Motala przez Medevi Askersund do Lekebergslagen“ przez L. T. „Okolice Jönköping“ przez Halma Kassel; Oreskutan w Maju“ przez O. G. R.; Kator czy Katar“ (Chata); „Słowo o piśowni języka Lapońskiego“ doskonale opracowane filologicznie przez K. B. Wiklunda i wiele, wiele in-

nych, z których żaden nie jest w roczniku sprawozdawczym balastem zbytecznym, owszem, słabsze pod względem naukowym wskazują dokąd, którędy najtaniej i najlepiej jechać, gdzie się zatrzymać i t. p.

Zważywszy tedy, iż klub szwedzkich turystów istnieje zaledwie rok dziesiąty i posiada zbiór 2,500 fotografii, możemy mieć pojęcie, jak biblioteka każdego z członków jest już wzbogaconą wiadomościami pewnymi, praktycznymi i źródłowymi z dziedziny krajoznawstwa i ile w ogóle etnografia szwedzka, dzięki klubowi, zyskuje materiału rozszerzającego granice.“

Osnowa jest bardzo strona praktyczna, stanowiąca podstawę klubu:

„Do stowarzyszenia turystów szwedzkich należeć może każdy bez różnicy stanu, płci i narodowości, kto płaci składkę trzy korony (1 rs. 50 kop.) rocznie lub sto koron jednorazowo. Członek otrzymuje kartę legitymacyjną, ułatwiającą mu podróże, przesyłaną korespondencyę, otwierającą drzwi muzeów i gmachów publicznych, wreszcie pozwalającą odbierać bezpłatnie wydawnictwa klubu i korzystać w umówionych hotelach z ceny o 20% niższej. Filje znajdują się w każdym większym mieście całej Szwecyi i zagranicą, gdzie również hotele wiadome zniżają ceny dla turystów. A więc w Norwegii jest takich hoteli 5, Danii 2, Finlandyi 1, Belgii 2, Francyi 17, Grecyi 2, Włoszech 24, Rumunii 1, Szwajcaryi 20, Hiszpanii 1, Turcyi 1, Niemczech 44, Austro-Węgrzech 51, z tych w Krakowie 2: Grand Hotel i Hotel Saski z członkami p. E. Chromawskim i M. Sikorskim.“

Rzeczony klub rowija się z niesłychaną szybkością, dość, że gdy przy jego założeniu w r. 1885 było 65 i filii 2;—w lat dziesięć t. j. r. 1894 widzi już członków 10,427 i filij 36.

Czy u nas coś jest podobnego, ba — czy nawet myśl się o klubie podobnym wyśniła? — ale za to budzi się u nas słabnące zamiłowanie do sztuki choreograficznej, gapi się tłumem patrząc na powoziki ubrane kwiatkami, padają koniska gwoli otrzymaniu złotego żetona przez panów sportsmanów, totalizator napelnia kasę Komitetu Towarzystwa wyścigów konnych, nawet jeden z dziennikarzy staje w obronie panów dosiadających rumaków na polu mokotowskim, nazywając to—*pracą!*

Cieszymy się więc — ludzi pracy, chwała Bogu, nie zbywa u nas. Pracują cykliści, boć przecie to trud nie mały kilka godzin z rzędu spuszczać to podnosić, lewą to prawą nogę; pracują łyżwiarze, boć przecie bagatelką nie jest po śliskim lodzie holendry wywijać. A jednak dobrem jest i to, ale naprzód stwórzmy podobny klub turystów, jeżdżąc zwróćmy uwagę na drogę przez którąśmy przebieżeli, zanotujmy nie jeden szczegół tyczący się flory i fauny danej miejscowości, zwyczajów i obyczajów ludu tej okolicy lub tej wsi, zostawmy kilka dobrych wskazówek dla naszych następców, by po własnym kraju nie błądzili jak w lesie, lecz by jak w dobrze znajomym obracali się domu.

Nie możemy się również powstrzymać od przytoczenia listu pewnego kapłana, adresowanego do „Prawdy.“ Autor jego okazał się dobrym obserwatorem i pod skórą owocą dostrzegł wilezurę.

Od pewnego czasu, w dziennikarstwie naszym dają się dostrzegać dziwne świętoszkowstwo. Pan wydawca bardzo wiele kwestyj potrącać nie chce, rzekomo ze względów religijnych. Gdyby jeszcze powodował się rzeczywiście uczuciami religijnymi—nie mielibyśmy nic mu do zarzucenia, ale tu przeważnie w grę wchodzi interes własny, czysto pieniężnej natury, chęć zamaskowania sierści wełną niewinnego baranka. Z tej racyi jesteśmy zalewani potokami słów nabożnych, w których dużo jest brzęku ale treści dopatrzeć nie można. Tym czasem, co jest boskiego Bogu, co jest cesarskiego cesarzowi oddać potrzeba. Wyznawać zaś Pana należy nie czczemi frazesami, ale cokolwiek bądź mówiącemi czynami, pomiędzy słowem a uczynkiem jest rozbrań stanowczy i musiało to faryzeuszowstwo przebrać miarkę i oburzyć wreszcie ludzi prawych, gdy oto pojawił się głos księdza, który w dosadnych słowach ten stan obecny omawia.

Posłuchajcie, bo doprawdy, że list jest ciekawy.

„Znaczna większość naszych dziennikarzy ma zawsze pełne usta słów pobożnych i gdyby wierzyć

tym słowom, należałoby przypuścić, że prasa warszawska mogłaby sama złożyć i corocznie składa najmniej jedną kampanię czestochofską. Tym czasem kto miał sposobność bliżej poznać owych świętoszków, wie, że nie zachowują ani świąt, ani postów, nie uczęszczają do kościoła i do spowiedzi, w ogóle, zaledwie przestrzegają w życiu tych przykazania, bez których żaden obywatel społeczeństwa bezpiecznie obywać się nie może. Jak dalece trzymają się zasady: *das Wasser predigen und den Wein trinken*, przekonywa wysoce charakterystyczny fakt, że na tyłu pobożnych redaktorów i literatów, dotąd jeden pan E. Jankowski odbył pieszą pielgrzymkę do Czestochowy (dwaj inni zrobili to dla studyów obyczajowo-psychologicznych). Ten człowiek jest rzeczywiście religijnym, konsekwentnym i szczerze kochającym swoją wiarę. Ale co powiedzieć o tych „podwójnych bohaterach“ noszących na sobie bigoteryjny wierz z libertyńską podszewką i ciągle zapominających o przestrożce Chrystusa, że, „wiara bez uczynków jest martwa.“ Im się zdaje, że szary tłum, tak samo może ich wyręczyć w modlitwie, jak w czyszczeniu butów.“

Doprawdy, że nie masz przesady w tych słowach. I po co ta obfuda, to udawanie gołąbka kiedy się jest rariogiem?

Doroczny obchód wianków odbył się i teraz z wielką okazałością, a większą dbałością o wygodę widzów. Zwykłego tłoku nie było znać wcale, skromna opłata pozwalała każdemu choć stojące zająć miejsce. Pogoda była piękna, fale Wisły spokojne. Pochód wianków rozpoczęły trzy transparenta przedstawiające trzy miasta nadbrzeżne: Warszawę, Płock i Włocławek. Następnie ukazał się wianek cyklistów, później młynarzy oraz Towarzystwa pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy i Towarzystwa łyżwiarskiego. Przystań tonęła w morzu zieleni, z dźwiękami orkiestry towarzyszył huk rakiet i śpiew chóralny.

Oryginalną nowością, która wśród zebranego tłumu niemałe wrażenie uczyniła, było ukazanie się na wodzie olbrzymiej kropy wiozącej „Teatr Nowości.“ Widzieliśmy tam bardzo ładną dekorację z drzew, wśród których biała chata włościańska a przed nią na podwórzu wesele krakowskie. Było więc i błogosławieństwo rodzicielskie dane młodej parze i weseliska i nieodstępny organista i ucztą i żydzi grajkowie i cały orszak weselny, i mazur, i krakowiak i oberek.

Słowem wszystko było...

A jednak?

Ucywilizowały się nasze wianki; z tradycyjnej zabawy nazwisko tylko zostało, ale rzecz sama znikła, boć przecie jej zasadą, to wysięg młodzieńców za wianuszkami dziewczycym i wróżby ztąd wypływające. Nie prawda, panie Inocenty?

— Ach—nudy, nudy! ziewał mój gospodarz, wyciągając coraz dalej nogi przed siebie

PRAGNIENIE.

Przysła, jak szczęścia kwiecie, jak wiosna,
Jak gwiazdka złota, jak pieśń radosna,
I białą różę na piersiach miała
I sama była, jak róża biała
Z krasnym rumieńcem... Moja królowo!
Gdybym mógł słońca promyczek złoty,
Niby koronę, nad Twoją głową
Zapalić,—przybrałbym weń twe sploty...
Gdybym mógł, jabym słowików roje
Posyłał nocą pod okna twoje,
Aby ci do snu nuciły zcicha,—
Jabym uprosił lilii kielicha,
Aby zaglądał do twej komnaty...
I wszystkie gwiazdy, i wszystkie kwiaty
Wolę by twoją spełniać musiały,
Mój ty jedyny aniele biały!...

Selim.

W CODZIENNEJ WALCE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

St. Ariel.

(Dalszy ciąg).

X.

Późno tego roku stopniały śniegi, a wiosna długim czekaniem zniciępliwiona, wystąpiła gwałtownie.

Zaraz po spływie wód zazieleniały błonia i pół runie; drzewa napuszyły się bogactwem białego i różowego kwiatu, przedrżniając niejako zimowe obsłony, które w blasku słońca też umiały drgać rumianą barwą.

Robota, w ogrodzie wstrzymana, rozpoczęła się przyspieszonym tempem. Tu zakładano inspekta, sadzono drzewka; tam równano brzegi strumyka, ledwo na trzy łokcie szerokiego, przezem Joasia kazała wybrać sadzawkę, potrzebną jako zbiornik wody do podlewania. Na owych zaś dwu morgach odzyskanego gruntu zaprowadzono krzewy agrestu i porzeczki; a małe grzędy i różne skrawki koło dawnych klombów przygotowywano pod zioła lecznicze, które mogły zbytnie znaleźć w aptekach miejscowych.

Joasia lekcy z siostrami zredukowały czasem do dwu godzin dziennie, krzątała się nader zapobiegliwie, a głowę wysilała równie nad mądrym rozdzielaniem ziemi jak i kapitału rubli stu kilkunastu, jakie ledwo zdołała za hafty zebrać. Z kredytu zaś ofiarowywanego przez panią Zenobią korzystała nie chciała, bo „nuż nie zdoła pożyczki zaszkodzić? Może się znajdzie jaka przeszkoda w pracy? może... może... Adam?..“

Myśl jej często uciekała do ukochanego z tęsknotą i upragnieniem, tem gorętszem, że wśród przykrych stosunków domowych trzeba było sercu pokrzepienia i otuchy.

A myśl tę zaprzętały raz poraz i inne sprawy, realne, które bieg dni powszednich nasuwał. Oto bowiem Johan Krebs z robotnikami jej zadzierał; urągliwym śmiechem natrząsał się przy każdej sposobności; wreszcie zwożąc jakieś materiały budowlane, gwałtem domagał się z jej szkodą rozszerzenia drogi, jaka między sąsiedzkimi gruntami prowadziła.

Z drugiej znów strony czarny Mosiek poczynał ojca operować o wypuszczenie sadu, gdy tylko owoce na gałązkach się zawiązały.

— Ja jasnie panu zapłacę w tym roku dwanaście rubli, bo ja wimiarkuję, że urodzaj Pan Bóg da wielki,—przekładał panu Wiktorowi.—Nu, niech ja te dwa ruble nawet stracę, a niech między nami będzie stary interes i stara zgoda, jak to jasnie pan lubi...

— Ale, mój Mosiek, nie sadź że mi po pierwsze tym jasnym panem, bo to wygląda na kpiny, jak gdybyś sobie żartował z mojego wyświeconego palta i ze mnie,—mówił pan Leski.—A po drugie: idź sobie gadać z panną, bo ja się już w te interesa nie wtrącam...

— Ny, jak to może być, żeby ojciec swojemu dzieckowi wszystki interes do głowy kładł?—Ja już wielmożnemu panu zapłacę trzynaście rubli i pół. A jak wybiję deszcz, wybije grad wszystkie jabłki, to ja stracę pięć rubli, dziesięć rubli, ale niech stracę;—ja tu wielmożnemu panu pieniądze zaraz położę i będzie zgoda... Nu, jak moje dziecko kocham, ja już dam nawet piętnaście rubli, nawet bez trocha dwadzieścia rubli! Ajaj! tyle pieniędzy! Byłby nawet nowy palit, a jabłko zgniją, jabłko pokradną ludzie...

I takich rozpraw z Moskiem było parę, a za każdym razem dopiero Joasia musiała im kłaść koniec stanowczą, nieodwołalną odmową.

Wogóle też bardzo rzadko zażywała owych upragnionych chwil swobodnej myśli, w których by mogła o tem pomarzyć, co przepełniało serce.

Czasem jednak, gdy stała tak w słońcu przy robocie, i gdy powiew ciepły mknąc zdała, objął ją przeniknął, to dusza wyrwała się całą siłą w przestrzeń; i niejako snem czarownym zdjęta opuszczała nagle ręce, i z rozkoszą wdychała wonne powietrze, wyobrażając sobie, że ono od niej przyplęwa, od niej przynosi miłosne technienie.

Czasem znów, gdy wzrokiem rzuciła po swej pracy, z zadowoleniem mówiła sobie: „O, opowiem mu jak tu było dawniej! Wszędzie go oprowadzę, wszystko pokażę... jego zapytam, czy dobrze porządzałam... i tedy, tedy będziem chodzić razem...“

Z listów zaś, które pan Kazimierz otrzymywał od Adama, wiedziała, że myśli o niej wiernie, a zwiędza Niemcy i Belgią, nie z powodu pojedynku przedłużając pobyt za granicą, lecz dla obznajmienia się z gospodarstwem i przemysłem, w celu rozpoczęcia przedsięwzięcia po powrocie.

Co prawda pan Wiktor te listy za każdym razem przesyłane przyjmował z lekceważeniem i niewiarą; i jeszcze w pół żartobliwie przedstawiał córce, iż szkoda że dla jakiegoś „fiu-fiu obieżyświata“ odrzuca profesora, któremu widocznie musiała „dobrze za skórę zaleźć,“ skoro jej się uczepił jak bąk miodu.“ Ona wszakże listom przypisywała ogromne znaczenie, a na to uwagi nie zwracała, że pan Tomasz bywać nie przestawał, że wzruszenia ciągle się pociał, krawat rozwiązywał zapamiętałe, gorąco ją uwielbiając mimo, że nie była „malowanym bóstwem.“

Profesor tylko daremnie głowę łamał nad odgadnięciem źródeł jej mile swobodnego obejścia, bez kokietery i bez tkliwości, równie jak bez najmniejszych obietnic na przyszłość.

— Co u licha?—myślał nieraz—czy ze mnie już taki but stary, na który się nie uważa? Czy może ten oryginał ojciec, pułapką zajęty nie powtórzył, że chcę bywać jako przyjaciel, lecz widoków na przyszłość tracić nie myślę?... Tak jak ona zachowują się bóstwa, które już dobrze serca polokowały. Ależ na Bachusa! nikt u nich nie bywa, prócz mnie i żółtodzióbów czasem do tej młodszej frygi...

Zamierzał tedy wątpliwości rozbić i ponowne oświadczenia wypalić, tylko już wprost do przedmiotu. Za każdym jednak postanowieniem — odwaga znów uciekała.

Gdy człowiek zdaleka myśli: pójdę — sięgnę — wezmę,—zda mu się, że już poszedł i zabrał—i pan mianem całym. A tymczasem gdy przed oczy stanie, spojrzy—ani wie jak tu zamysł wykonać, choćby niekiedy był nie przed kobietą nawet, a ptaszyną poprostu dziką, a wolną.

Nie—mówi mu głos utajony — cicho bądź! ona szczęśliwa bez ciebie, wesola—swobodna...

A ty jej na co?—głos pyta drugi.—Ani jej serce za tobą rwie—ani dusza łaknie...

Patrz! łapy masz wielkie i ciężkie, paluchy grube—tyś se dragal prosty, niby kloc z lasa wciągnięty w miasto—i jak ci do niej przystawać?... Ona patrzy na ciebie, wcale nie widzi; obchodzi blisko—wcale nie czuje... Człeku! miej rozum... Ani serce za tobą rwie—ani dusza łaknie...

— Rzeczy więc stały na jednym punkcie choć się pan Tomasz po każdym odwiedzinach u Leskich nasapał, nazywał przeciw samemu sobie i nadgryzał, że raz ostatni obawie i lęklivosti się poddaje.

A tymczasem piorun z czystego wiosennego nieba spadł:—Adam Starski przyjechał.

Joasia na kilka dni przed faktem odebrała list w którym odwiedzin zapowiedział, wyraźnie pisząc, że przyjeżdża dla niej wyłącznie, w myśl danej obietnicy.

A już był Maj—i choć ledwo pierwsze dni jego się wysunęły — każdy wieczór i poranek zdał się o nim dzwonić pieśnią zachwyty i rozkoszy.

Maj—cudny, uroczy Maj... śpiewała ziemia ciepłym rozkołysana—i powietrze wonią świeżości przesiąknięte,—zakwiecone łąki i zielonym kobiercem obciągnięte pola—i ptaństwo radosnym świergotem napędzające świat aż do chmur—i śpiewał czar, który w świetle był — i rozkosz bez granic, bez tam, w przestworze pływająca...

Maj—cudny, radosny Maj!...—powtarzała i ona i on—oboje razem, głosem jednym z dwu piersi dobytym i dwu serce.

Życie przemieniło się dla Joasi w sen.

Zostali sami.

— Joaniu!... tyś moja!...

Ręce jej ujął, pociągnął, jakby chcąc całą do wezbranej piersi przygarnąć.

— Mojaś ty—moja! — powtarzał szeptem, żaru pełnym.

Już prawie piersią dotykał jej piersi; ogniem oddechu po czole jej muskał — pierwszy pocałunek wahał się między nimi tajemniczy, a ponętny czarem niezwalczonym — siła rwąca ich ku sobie ważyła się—jak dwie fale ku zjednoczeniu pociągając...

Ona smukła, biała, słaniała się, słaniała, na podobieństwo konwalii pod zbyt silnym prądem — ale stała, i uchylała się od za bliskiego, za gwałtownego porwania, głowę jasną usuwając... Wreszcie on ręce jej do ust poniósł namiętnie, do lewej, do czoła przyciskał, twarz kryjąc w tych dłoniach—i patrzył, ale ani oczu jej, ani ust upragnionych nie śmiał dotknąć pocałunkiem—on zuchwalec!

Na rzesach Joasi drgała przejrzysta rosa; piers jej poruszała się cichym, głębokim oddechem, oczy wpatrywały w jego ciemne płomienne oczy z przenikającą błogością, a mocą. Zdawało się, że niemą, lecz świętą, niezem nieprzełamana składa przysięgę: miłości do śmierci.

— Ty, dobro mojego życia! Ty słońce!... Jedynie dobro, jakie we mnie jest! — szeptał Adam, jeszcze dłonie jej tuląc do twarzy miękkim ruchem, jak gdyby chciał w tej pieściu znaleźć uciwienie.

A po chwili obrzucił ją drgającymi ogniem żreńcami. Zdało się, że z niepokojem bada i waży, czy dość trwała będzie jej siła, dość potężną władza, by wszystkie zażegnać w nim burze — i prawdziwie stać się „dobrem życia?...

Słońce tymczasem przez drzewa — poglądało na nich bez chmury, jak dusza jej czyste — jak jego krew, umiające żarem palić...

— Joasiu a gdzieżeś tam? — zdaleka zabrzmiał ostry głos Helki.

Wyszedł Adam, rzecz prosta, i ani myślała długo zostawiać ich samych, płonąć z ciekawości i niepokoju. Udała wszakże iż o przyjściu jego nie wie.

— A! to pan?... Dzień dobry! — rzekła, szpiegowskie spojrzenie przerzucając z jednego na drugie, choć zastała ich zupełnie już w obojętnej pozycji.

— Gdzież to pan wezorał tak zniknął? Już chcieliśmy się zakładać, czy pan wróci, czy nie wróci, czy może za granicę wyjedzie... Taka dowcipna mistyfikacja!...

— A tak—właśnie—mistyfikację chciałem państwu urządzić. Widziałem, że kogoś ciekawego zaniepokoją,—odparł Adam szybko, otrząsnawszy się z poprzedniego wzruszenia.

Helce błysnęły oczy.

— Niby mnie?... Dziękuję za łaskawą pamięć o mojej osobie. Ale — zdaje się — niestety! że to pod innym było adresem...

Chrząknęła znacząco, rumieńcem zazdrości obalana.

Adam uśmiechnął się.

— A czy to pani nie wie, że niekiedy równocześnie rzuca się coś pod różnymi adresami:—jednym z powagą, ze znaczeniem, drugim, zwłaszcza „dzieciom“ przez figle, na zabawę... Ja niezawodnie panią zaintrygować chciałem—żartował.

W pierwszej chwili zły był, że tak nie w porę przerwała mu błogie samnasam z narzeczoną, i chciał uszczypliwie dociąć jej za wścibstwo. Lecz ognistość temperamentu tej dziewczyny, już dyszącej żądzą życia, podobania się, zajmowania sobą a pewnie i rozbudzania miłości, zaciekawiła go naraz, spojrzął na nią probierzem okiem znawcy.

Heła zaś, słuchając go, pobladła.

— Dzieciom na zabawę? — powtórzyła topiąc w nim roziskrzzone oczy kota.

— Pani!... niech pan za smarkaczów nie bierze tych, co już dawno smarkaczami być przestali i bawić się sobą nie pozwolą nigdy!—rzuciła porywczo.

Wybuchnęła płaczem—i uciekała.

Adam zdziwiony spojrzął na Joasię, która w milczeniu przysłuchiwała się tej niespodzianej scenie, jeszcze odurzona poprzednią, z jakiej tak nagle siostra ją wyrwała.

— Czyż obraziłem ją? Czemu?... Ależ gwałtowna dziewczyna! — rzekł nagle krwią obłany.

„Stepowy koń, że iskry krzesz!“ — dodał w myśli i żywo parę kroków posunął się naprzód, aby jeszcze zdaleka ją ujrzeć.

— Dziecko!—usprawiedliwiająco wyrzekła Joasia, i postąpiła za nim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bronisław Hubermann.

Od dawna przez ogół przyjęta zasada, że z cudownych, muzykalnych dzieci rzadko kiedy wyrastają cudowni, wielcy muzycy, leży jednak niejedną, aż nadto przekonywającą mową za sobą wyjątek.—Dość tu przytoczyć takie nazwiska jak: Mozart, Liszt lub Rubinstein.—Pośród więc niezliczonej falangi małoletnich wirtuozów, których po świetnych tryumfach w dzieciństwie czekają w późniejszych latach przykre rozczarowania, bywają niezaprzeczenie natury zawczasu rokujące trwałe, omal niezachwiane nadzieje.



Do tych wybranych śmiało zaliczyć możemy 10 letniego Bronisława Hubermanna, który przed niedawnym czasem wystąpił z koncertem w Wiedniu.

Do współudziału w tym koncercie zaproszoną została Adelina Patti, zapewne jako środek, uznany za konieczny, żeby sala nie świeciła pustkami.

Otóż, stała się rzecz nadzwyczajna. Gra 10 letniego wirtuoza tak owładnęła słuchaczy, iż powodzenie znakomitej divy zeszło na plan drugi i każdemu mimowoli nasuwało się na myśl porównanie o wschodzącym i zachodzącym słońcu.

Malec ukazał się, zagrał i porwał serce wszystkich.

Powodzenie, na wyżej wspomnianym koncercie, nie było jednorazowym wypadkiem. Cztery następne koncerty, w małej sali towarzystwa muzycznego, zapełniły po brzegi wszystkie miejsca, — na piąty,—w sali wielkiej,—również wszystkie zostały rozkupione.

Krytycy i mistrzowie, jak: Brahms, Goldmark, Hanslick i Speidel, oraz poważni amatorowie muzy-

ki,—a między tymi poseł niemiecki hrabia Eulenburg i prezes izby sądowej Józef Unger, wszyscy orzekli jednogłośnie, że mały Hubermann jest artystą z Bożej łaski.

Pod pociągnięciem jego smyczka drga wysoce wrażliwa dusza, pewność zaś i zrozumienie z jakimi interpretuje Beethovena i Mendelsohna, dowodzi w tak młodziutkim koncercie prawdziwie genialnej intuicji.

Ukazanie się tak wyjątkowego dziecka nie obeszło się naturalnie bez bajecznych opowieści, przywiązanych do jego osoby, których mnóstwo spotykamy w szpaltach pism rozmaitych.—Następujące wszakże opowiadanie jest rzetelnie prawdziwym:

Przed dwoma laty, podczas dżdżystej wielce pory, w pięknej swojej willi nad jeziorem Traun, zmarła niedawno wdowa po założycielu pisma „Neue freie Presse“ pani Regina Friedländer, nudziła się śmiertelnie, a z nią też dzieliło nudę zaproszone do wspaniałej willi towarzystwo. Jeden z gości, z tajemniczym uśmiechem zaproponował sprowadzenie skrzypka, który chwilowo bawił w tych stronach. Propozycja przyjęta została skwapliwie. Po niedługim czasie zjawia się wyżej wzmiankowany pan i wprowadza za rękę małego chłopczyka, niosącego skrzypce.

Niewiele obiecywano sobie z artystycznych produkcji nieznanego nikomu malca, aliści z chwilą, gdy Bronisław dotknął smyczkiem swoich skrzypiec, serca słuchających miękły, jakgdyby to były zaczarowane skrzypki.

Wszyscy zgromadzeni zajęli się żywo cudownym dzieckiem i wkrótce serdeczne ich zajęcie przedostało się dalej. Ernest Hartman—(artysta dramatyczny z Burgu) wprowadził młodziutkiego wirtuoza do artystycznych kół Wiednia,—malarz, Henryk Angeli ofiarował mu kosztowne, włoskie skrzypce,—hrabia Zamojski, nie odmówił też swego poparcia. W krótkim czasie zebraną została potrzebna suma na podróż do Berlina.

O tyle więc pomoc życzliwych wyrównała małemu Hubermannowi drogę. Teraz należało już do niego zwalczyć uprzedzenia Józefa Joachima, które tenże żywił do wszystkich, tak zwanych, cudownych dzieci.

Niechętnie zezwolił znakomity skrzypek na krótką próbę. Po pierwszym atoli tonie, wydobyłym przez wzruszonego chłopczyka, mistrz słuchał ze wzrastającą i skupioną uwagą. Przyjął Bronisława za ucznia i nauczał go wszystkiego, czego tylko tak dojrzali w sztuce swej wirtuoz i pedagog nauczać jest w stanie.

Pierwszem świadectwem ile Hubermann zdobył przez czas nauki u Joachima był wspomniany już koncert w Wiedniu. Słuchacze mieli przed sobą nie dziecko cudowne, lecz skończonego artystę,—tak dalece pojęcie, subtelność uczucia, czystość tonu i biegłość niepospolita są zadziwiająca.

Obecne koncerty, które pozostają dotąd w granicach starej Europy mają podobno posłużyć ku zebraniu środków na dalsze kształcenie się Bronisława w nauce harmonii i kontrapunktu, do których okazuje wybitne zdolności i wielkie zamiłowanie.

Życzyć należy małoletniemu wirtuozowi, żeby najbliżsi jego nie dali się pociągnąć przez owe złote góry, jakie tak chętnie obiecuje Ameryka—i przedczesną, zbyt forsowną, pracą i wysiłkiem nie zrujnowali zdrowia i nerwów cudownego dziecka nie doprowadzili do zgubnego rozstroju.

Z. S.

Z AMERYKI.

Słońce dogrzewa nam tu tak silnie, że ludzie uciekają z miast w góry i lasy a niemało jest wypadków porażenia słonecznego. Wiele fabryk zawiesza prace, szczególnie w zakładach hutniczych, które z nakazu rządu zostają zamykane, a dodać trzeba, że pierwszym, który w imię ludzkości odezwał się w tej sprawie jest nasz rodak, Ralf Modrzejewski.

W Nowym Yorku wytoczono proces Towarzystwu miejskich tramwajów elektrycznych, wskutek tego, że zostało przejechanych na śmierć w przeciągu czasu bardzo niedługim 107 osób, a o kalectwo przyprawiono 458 dzieci.

Razem jest to 557 ofiar tej gałęzi postępu, którego celem jest jedynie przyspieszenie ruchu, który i tak jest tu w ogóle takim, że sprowadza zawrót głowy świeżym przybyszom z Europy. Urządzono też w mieście naszym przeciwko temu szalowi szybkiego ruchu manifestacją publiczną i zwołano meeting, obejmujący tysiące ludzi, którzy tworząc procesy przeciągnęli przez główne ulice miasta, a przodem wieziono w wózkach dzieci kaleki przez przejechanie, za nimi zaś niesiono transparenta, z których jeden miał napis: „Opłakujemy 107 okrutnie zabitych dzieci“... Adwokaci, najwyżej tu w zawodzie swoim stojący, wystąpili dobrowolnie, więc zupełnie bezinteresownie z procesem przeciwko Towarzystwu o zapłacenie grubych grzywien rodzicom zabitych dzieci.

Czy to przecież nagrodzi łyż matek, czy to wróci życie dzieciątkom, które w zaraniu istnienia iść musiały w ciemność grobu? Nie powściąga to bynajmniej szalu szybkiego ruchu; koleje elektryczne już nietylko w miastach, ale i na szerokich przestrzeniach tysiące mil nieś tu będą wkrótce ludzi, bo zawiązało się towarzystwo w tym celu, mające na czele osobistość wybitną, bo dymisjonowanego sekretarza stanu, Forstera. Pierwszem dziełem Towarzystwa będzie połączenie New-Yorku z Chicago. Koszta obliczono na czterysta milionów franków i znaleźli się już kapitaliści, którzy zobowiązali się dostarczyć tę sumę przeogromną; ludzie uważają tu pieniądź za naturalne narzędzie ruchu społecznego i nikt go nie trzyma w kieszeni. Zamierzona kolej przebiegać będzie przez Filadelfią, Pittsburg, Cleveland, Toledo, a szybkość jej ma być niesłychana, bo w godzinę czasu przebieży 160 kilometrów.

W ogóle dzieje się tu wszystko podobnie, z rozpedem o jakim stary nasz świat pojęcia mieć nie może, majątki wzrastają też w sposób niesłychany dla nas. Biuro statystyczne w Waszyngtonie ogłosiło niedawno stan publicznego mienia Ameryki północnej, które przy szacowaniu najstaranniej dokonaniem przedstawiło 65 miliardów dolarów. Na majątek nieruchomy przypada tu 40 miliardów; przemysł, kopalnie, inwentarz rolniczy ogarnia resztę i gdyby jakie prawo drakońskie kazało ludziom podzielić się tem równo, każdy otrzymałby przeszło 1,200 dolarów.

Lecz nie przyłosła go tutaj ta napływowa fala przychodźców, ale wzrósł on ich pracą, która go wytworzyła i są tutaj tacy milionerzy, którzy przybywali z po za oceanu nie mając w kieszeni nic więcej, nad możność przekarmienia się przez dni kilkanaście strawą najlichszą. Jeden z takich, Karol Leither, zaliczający się obecnie do najbogatszych ludzi w Londynie, bo majątek jego oceniają na osiemdziesiąt milionów funtów sterlingów, puścił się w młodych latach za Ocean próbować łask losu i gdy stanął w Chicago, miał w kieszeni obok kilku pensów, to jest tyle, aby zaspokoić głód pierwszy kromką chleba, list polecający do bogatego przemysłowca w Chicago, Johna Farwell. Ale ten przeczytawszy go, ruszył ramionami. — Nie ma u mnie żadnego wolnego miejsca, rzekł; młodzieniec postanowił sobie przecież iść się wszelkiej pracy, jaka daćby mu mogła choć najmniejszy zarobek, a że go zdjęła rozpacz, pokazując bankierowi zakurzone szyby okna w jego kantorze, rzekł, że jest oto zajęcie gotowe. — Umyję te szyby i dasz mi sir za to kilka pensów... dodał, a bankier skinął głową na znak, że przystaje na to, lecz zapłata była inną wcale. Gdy okna zostały umyte, Farwell oświadczył młodzieńcowi, iż go bierze do swego biura, a w sześć lat potem był on współnikiem bogatego przemysłowca.

Niemców ciśnie się też tutaj moc wielka. W samem Chicago jest ich 400,000, nie w pierwszym przecież pokoleniu i są to nietylko dzieci, ale wnuki i prawnuki przybyszów z po za Oceanu, przecież cała ta rzesza trzyma się silnie przy swojej narodowości, przy swoich prawach, przy swoich obyczajach. Przy ostatnim spisie ludności pokazało się, że jest ich w Chicago sto tysięcy więcej, niż rodzimych amerykańców, a umieją się tu rządzić dobrze,

mają własną szkołę i w ogóle wytwarzają masę zbitą, której fortecą jest pracowitość wytrwała, dostarczająca tu środków. W stanie Illinois kosztu edukacji publicznej obejmowały w 1892 r. trzydzieści milionów franków, a w to Niemcy włożyli milien franków na szkołę z profesorami niemcami, na stypendya i szkolne książki niemieckie. I amerykańskie zaczynają już dawać baczenie na to wytwarzające się wśród nich społeczeństwo obce, nie wiążące się z niemi niczem.

Ze im to trzeba uważać za zasługę, nie ulega wątpliwości; wprawdzie i inne narodowości usiłują organizować się podobnie; w Buffalo, gdzie mieszczą się 60,000 ludności polskiej, pochodzącej przeważnie z Galicji i z Poznańskiego, wytworzyły się cztery parafie, posiadające własne kościoły, z własną obsługą kapłańską. W Chicago wzniosła się bardzo wspaniała świątynia w stylu romańskim, dzięki staraniom księdza proboszcza, szlęzaka z rodu, a tuż obok obszerny budynek, mieszczący elementarną szkołę dla dzieci. W Detroit jest zakład sióstr Felicjanek, które z wielką gorliwością zajmują się nauką dzieci naszych w szkołkach parafialnych, a dodać należy, że dzieje się to na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Na zachód od Detroit, w czterech stanach: Michigan, Indiana, Illinois i Wisconsin, mieszczą się bardzo znaczna liczba naszych wyłącznie kolonii tak w miastach, jak i na wsiach, a niemały to jest kawałek ziemi, bo obszar wymienionych stanów odpowiada rozległości państwa austriackiego. Dzieci jest też tu co niemiara, a że warunki klimatu są dobre, że każdy kto chce pracować może sobie byt zapewnić, zwłaszcza na roli, ludność wzrasta w zadziwiający dla nas sposób. W Chicago jest Polaków 50,000 dusz, Czechów 55,000, Anglików 35,000, biednych Irlandczyków 215,000, Francuzów najmniej, bo 13,000, i czy kiedy ten anglomerat Stanów Zjednoczonych zleje się w jednolitą masę? to pytanie, na które odpowiedź nie jest łatwą, bo zależną być musi od wielu względów. Gdyby przecież wszystkie narodowości postępowały tak, jak Niemcy, wytworzyły by w Ameryce społeczeństwa, odpowiadające narodowościom, z których pnia wyszły i do których braterstwa nie przestałyby się poczuwać.

Jednym tylko sposobem Europa odbiera sobie pieniądź, który z niej wynoszą emigranci, a to przez małżeństwa amerykańskich bogactek z potomkami starych rodów historycznej arystokracji europejskiej. Obliczyli tu właśnie anglikanie co im tą drogą zabrała stara Europa; w przeciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat dwieście milionów dolarów przeszło tym sposobem w ręce paniczów udekorowanych rycerskimi godłami krajowców, którzy przecież nie dla takiego wziętku zakuli się w stal twardą. Trzeba jednak dodać, że przeważnie dzieje się to w arystokratycznych rodach francuzkich, zubożałych w koleje czasu, a niechęcych zejść według swego mniemania niżej: obchodzić się bez sług i cugów. Licha to duma przecież, która podpór takich dla godności swej poszukuje i szlachetniejszym już są ci, którzy dla zadowolenia próżności swojej innego rodzaju blasków pragną — blasków odbijających się od godła świadczącego o zasłudze obywatelskiej.

Ludzkość stara jest i nieprzeliczone są jej koleje życia na polach wszelakich. W Ameryce południowej, w pobliżu miasta San Jago odkryto u podnóża wygasłego wulkanu Agua pod grubymi pokładami skamieniałej lawy i stężiałych popiołów, wyrzucanych przez wieki, zmartwiała wioskę, w której domostwach znaleziono rozmaite przedmioty tak do wojennego użytku, jak i na posługę powszedniego życia jej niegdyś mieszkańców. Obok mieczów, sztyletów, młotów z krzemienia, mieściły się wyroby rozmaite, wielce kunsztowne i wytwornie wykonane: wazy szklane pokryte rysunkami artystycznie pięknymi, perły, brylanty, różne ozdoby niewieście, posążki bożków, a między temi figura rycerza w postawie leżącej, wyrzeźbiona z bazaltu, z hełmem na głowie podobnym do rzymskiego, a nietylko postać cała, ale i oblicze oddane artystycznie dowodziło, że wykonała to ręka zręczna, kierowana tą siłą, która umie teńnąć piękno estetyczne w głąz martwy. Wedle sądu archeologów odkopaną wioskę zaliczyć trzeba do epoki kamiennej, więc przedhistorycznej, a jednak uka-

zuje się tu wysoki już stopień cywilizacji i nietylko trzeba tu zawołać: jakże starym jest ten świat, ale jak ograniczoną jest wiedza nasza o jego przeszłości, której historia jest dla nas księgą zamkniętą.

Nie należy też unosić się nam dumą, nad wytworami nowożytnego postępu i tego co tworzy człowiek dzisiejszej doby, niemniej sięgając coraz głębiej w tajemnice przyrody zużytkowując on tę wiedzę w sposób, który mu daje rzeczywiste panowanie na globie tym, który go nosi. W Chicago na samym szczycie niesłychanie wysokiej wieży, na której mieszczą się stacya meteorologiczna, ustawionym został niedawno reflektor elektryczny, przesyłający podczas nocy w dal bardzo odległą odpowiednie pogody lub słoty na użytek tak rolników, jak i żeglarzy na falach morskich. Reflektor ten obraca się bardzo z wolna, rzucając smugi światła białe i czerwone, a gdy pierwsze zapowiadają w zimie wielki mróz a na wiosnę i w jesieni chłód i zron, blask czerwony ostrzega przed burzą i wichrami z zachodu, gdy zmieniające się smugi białe i czerwone wróża nieomylnie wiatry wschodnie oraz niepogodę, a dodać trzeba, że reflektor ten wypromienia światło tak silne, że jego znaki widocznymi są na kilkanaście mil angielskich w koło.

Ciekawość dzisiejszego człowieka w zdobywaniu sobie wiedzy o wszechświecie jest tak silną, że wytwarza on tu sobie nierazko mrzonki, któremi się bawi. W Ameryce szczególnej wyobraźnia ta granajmoczniej, w Nowym Yorku wyszła niedawno książka, napisana przez jednego z największych tu-tejszych bogaczy, którego nie można nazywać już milionerem, ale miliardarem, a która przedstawia czytelnikowi historję „Podróży na inne światy.“ Jest to już rok 2,000, a postęp stał się takim, że człowiek wybiera się z ziemi na zwiedzanie planet; Jowisz jest tu celem pierwszym ciekawości trzech podróżników, którzy dostawszy się nań znajdują planetę w tym stanie niewykończonego jeszcze rozwoju, w jakim ziemia była przed potopem. Bronić im się przytem trzeba przed rozmaitemi potworami, lecz badając przyrodę tutejszą i jej bogactwa, nie naruszone jeszcze przez nikogo, zamierzają wytworzyć za powrotem na ziemię kilka towarzystw, któreby czerpały wziętki bogate ze skarbnicy nikomu jeszcze prócz nich niedostępnej. Z kolei przenoszą się na Saturna, tu spotykają duchy odsłaniające im tajemnicę życia i śmierci człowieka, aż nakoniec wracają na ziemię, gdzie oddają się usilnie pracy wyprostowania skrzywionej osi ziemskiej. Fantazyja to jest oryginalna w swoim rodzaju, zwłaszcza ze względu na to, kto ją skreślił, bo wykazuje ona dowodnie, że człowiek nie samym chlebem żyje i nie dość jest mieć kufry pełne złota, bo wyobraźnia jego potrzebuje wzlotów w tę krainę fantazyi, gdzie przebywa ideał.

Zobaczymy wkrótce pod jaką postacią przejawia się on w Nowym Swiecie, bo wykaże nam to zapowiedziana na rok przyszły wystawa przemysłowo-artystyczna w Meksyku, pierwsza w tej dzielnicy Ameryki. Rząd centralny bardzo popiera tu przedsięwzięcie, pragnąc aby ruch przemysłowy rozwinał się silniej w tej hojnie przez naturę uposażonej krainie. Poczyniono też wszelkie możliwe ulgi przy transporcie okazów, a w San Francisco zawiązał się komitet z milionem dolarów do rozporządzenia, aby wystawa odpowiedziała celowi nie w tej jedynie gałęzi. Oddział artystyczny ma być bardzo wspaniale udekorowanym, a wszyscy amerykańscy sztuki-mistrze postanowili przesać tu najlepsze utwory, aby wykazać, że nietylko świat wyciąga ręce za ideałem.

.....

Wrażenia jesienne z Japonii.

Święte miasto Kioto

przez

PIOTRA LOTI.

(STRESZCZENIE).

(Dalszy ciąg).

VI.

W hotelu Yaami przyrządzono potrawy prawdziwie po angielsku: małe kromki chleba, pieczeń krwawa, soezysta, gotowane kartofle. W hotelu zatrzymały się w tym czasie tylko cztery osoby, podróżujące dla przyjemności: dwóch szpakowatych mężczyzn, i dwie miss w podeszłym wieku. Brzydkie, mające około sześciu stóp wzrostu, ubrane, jak gdyby w futerały z białego muślinu, dozwalające dostrzedz niesforne fiszby sterczące wokoło stanika. Oczom moim, przywykłym już do miłutkich japońskich małpeczek, wydały się te postacie, jak dwie mały męzkiego rodzaju, wystrojone na jarmarczne przedstawienie.

Bardzo przyjemną dla mnie w tym hotelu była godzina poobiednia, gdy siedząc sam na werandzie, z kądem rozlega się widok na całe miasto, pograżony w północy umysłowym, paliłem papierosa. Na pierwszym planie widać ogród z miniaturowym labiryntem alei, małymi skałami, malutkim jeziorem, i karłowatymi drzewami, z których jedne pokryte są liśćmi, drugie tylko kwiatem, zupełnie jak na widoczkach, malowanych na porcelanie. Po za tą powabną, wykwiutną Japońszczyzną, rozciąga się miasto z tysiącem swych czarnych dachów, pałacami, świątyniami i otoczonym błękitnawych gór. Lekka, biała, jesienna mgła unosiła się zawsze w powietrzu, a łagodne słońce oświecało czystymi swymi promieniami krajobraz, napełniony wiecznym świerkaniem koników polnych.

Mój Boże! oto obiedwie miss, opuściwszy swój pokój, biegają po ścieżkach ogrodu z naiwną swobodą małych dzieci, i z gracyą orangutanga! Nie, doprawdy to nie do zniesienia! — „Panie Yaami, proszę, każ moim djinom być gotowym do drogi, chcę udać się do pałacu Taiko-Sama“.

* *

Po raz dziesiąty czy dwunasty musieliśmy przejeżdżać szeroką rzeką, dzielącą miasto na dwie połowy. (W tym czasie wyszła zupełnie, a ogromne jej żwirowe łóżysko rozpościerało się w świetle słońca.)

Most, przez który mieliśmy dziś przejeżdżać zapadł się właśnie w samym środku. Musiałem więc zejść do łóżyska po improwizowanej drabinie, a moi djinowie, idący za mną, przenieśli wózek na swych ramionach. Gromada djinów, wiozących za nami damy z wyższej sfery; poszła naszym śladem, a piękne panie, podkasawszy suknie, przechodziły w bród rzekę ze śmiechem i głośnami okrzykami, potykając się często.

Na drugim brzegu tłum biedaków i stopy łachmanów tworzyły chaos niedoopisania. Był to targ handlarzy starzyzną i tandety. Z obydwóch stron ulicy leżały nagromadzone niezliczone masy starego, znoszonego, podartego i poplamionego odzienia; niektóre sztuki niegdyś okazałe, dziś jeszcze zachowały ślady dawnej świetności; stare materace i kołdry, stare podarte pęczochy, piękne damskie paski z różnokolorowego atłasu, piękne jedwabne draperie, haftowane w bociany, motyle i kwiaty, nawet europejski stary cylinder, zgnieciony leżał na sprzedaż, pod tym stosem japońskiej starzyzny. Może dałaby się tu wynaleźć cenna jaka zdobycz, lecz wstrętnem było mi poszukiwanie. Pragnąłem jaknajspieszniej ominąć to miejsce,

gdyż wszystko przypominało tu żółtą rasę, zgniliznę, śmierć.

Dalej rozłożyli się handlarze starego żelastwa, mieszanina osobliwych, dziwacznych sprzętów między którymi, szarym pyłem pokryte, leżały stare lampy, pochodzące z pagód i naszyjniki bożyszc.

Dystyngowane damy wsiadły za moim przykładem do swych wózków; wyglądało to jak gdyby wiozł za sobą swój seraj, i jechaliśmy gęsiego, jak można najprędzej wśród tego olbrzymiego, tandetnego targu.

Uliczki, stawały się coraz szersze, a miasto nabierało innego znów zupełnie charakteru; na szerokich ulicach i placach rosły drzewa, a z zieleni wyłaniał się pałac Taiko-Samy, ze swemi ponuremi lecz wspaniałe wydatniającymi się dachami.

Wysokie mury okalały go. Djinowie moi zatrzymali się przed pierwszą bramą, o stylu poważnie religijnym: masywne kolumny na brązowych podstawach, prosty fryz, pokryty niezwykle rzeźbionymi ozdobami, olbrzymie pokrycie dachu.

Wszedłem pieszo na puste dziedzińce o stuletnich drzewach, których gałęzie podtrzymywane były podporami, niby członki starców na kulach. Wydęte kształty budowy pałacu robiły na mnie wrażenie pewnego nieładu, braku określonego planu i całości. Wszędzie te monumentalne, przytłaczające dachy, na których wydatniały się narożniki z czarnymi ozdobami, wyrzynane w chińskim rodzaju.

Nie widząc nikogo, postępowiałem dalej na los szczęścia. Tu ustawał wesół śmiech, nieodłączny od nowoczesnej Japonii. Doznawałem takiego wrażenia, jak gdybym wtargnął w ciszę niepojętej przeszłości, zagasła świetność rozwoju, którego budownictwo, malarstwo, pojęcie piękna były mi obecne, nieznane.

Gwardyan—bonza, zauważywszy mnie, zbliżył się z ukłonem, pytając o nazwisko i paszport.

Wybornie się złożyło: ofiarował się oprowadzić mnie po całym pałacu, pod warunkiem, abym zechciał zdjąć buty i kapelusz. Przyniósł mi nawet aksamitne sandały, które stały gotowe na użytek zwiedzających. Podziękowałem, lecz wolałem pójść jak on bosy; rozpoczęliśmy więc nasz milezący pochód przez nieskończony szereg sal, ozdobionych złotą lakką, w niezwykle, kosztowny sposób.

Podłogę zasłaniały jak zawsze i wszędzie wieczne białe maty, jednakowo proste, czyste i porządne w pałacu cesarskim, świątyniach, jak u mieszczan i ubogich. Nie widać nigdzie ani jednego sprzętu, meble bowiem są rzeczą zupełnie lub przynajmniej prawie zupełnie nieznaną w Japonii; pałac zatem był pusty. Za to ściany i sklepienia odznaczały się zdumiewającym przepychem. Wszędzie rozpościerała się kosztowna złota laka, a na tem tle bizantynskim, wszyscy sławni malarze „wielkiego wieku“, wykonali swe prace, niepodobne do naśladowania. Każda sala ozdobiona została przez innego malarza, a nazwiska ich wymieniał mi bonza z uznaniem i szacunkiem. W jednej z nich wszystkie znane kwiaty i rośliny stanowiły przedmiot malarskiej pracy, w drugiej wszystkie ptaki unoszące się w powietrzu, w dalszych zwierzęta, polowania lub walki, rycerze na koniach uzbrojeni i zamaskowani w przerażający sposób, wreszcie potwory i chimery. Największą oryginalnością odznaczała się sala pomalowana w same wachlarze, rozmaitego kształtu i barwy, rozłożone, zamknięte, lub na wpół otwarte, rzucone z nieporównanym wdziękiem na delikatne tło ze złotej laki. Godnymi podziwu wydały mi się wysokie ażurowe fryzy, okrażające sufit dokoła; pomimowoli myśl biegnie ku tym pokoleniom cierpliwych pracowników, którzy siły swe zużytkowali na wykonanie, delikatnie wyrobionych, prawie przezroczyście ozdób z grubego drzewa; tam ukazują się krzaki róż, gałązki gloksynii, lub snopki ryżu, tu znów stada bocianów, przecinające powietrze z szybkością strzały, a tworzące pomimo pogmatwania swych łap, piór oraz wyciągniętych szyj, wybornie zgodną całość; wszystko to zdawało się żyć i poruszać bez przeszkody i zamieszania.

W tym pałacu, pozbawionym okien panowała ciemność, a raczej tajemniczy półcień. Sale posilkowały się po większej części światłem z werend, znajdujących się z jednej strony pałacu, a opartych na czterech słupach, lakką pokrytych. Było to jak-

gdyby oświetlenie głębokiej stodoły lub halli. Wewnętrzne sale więcej jeszcze tajemnicze, oddzielone były od poprzednich takimi samymi słupami, a światło dochodziło do nich bardziej przytłumione. Sale te zasłonić było można dowolnie bambusowymi roletami delikatnej roboty, ściągającymi się do samej ziemi i przedstawiającymi wskutek rozmaitej ścisłości wyrobu najrozmaitsze morowe desenie. Pokoje i sale połączone były z sobą hallą z kolumn o niezwykle, dziwnych kształtach; tworzyły już to koła, to znów złożone figury, sześciiany lub gwiazdy. Wszystkie te boczne wejścia miały wykwiutne ramy z czarnej laki, odcinające się od powszechnego tła złotych, a wydatniały je bardziej jeszcze narożniki z brązu znakomicie czytelowane przez złotników dawnych epok.

Ubiegłe stulecia przyczyniły się także do upiększenia pałacu, pokrywając jakgdyby zasłoną, łagodząc blask tych rzeczy, i chaos nagromadzonego złota; przy takiej ciszy i pustce, możnaby gmacz ten uważać jako miejsce pobytu uśpionej królowej, księżniczki z nieznanego nam świata, z obcej planety.

Przechodziliśmy szybko obok znajdujących się w obrębie pałacu małych ogródków, przedstawiających stosownie do gustu Japończyków najdziksze okolice w miniaturze. Cóż za nieoczekiwane sprzeczności napotykałyśmy wewnątrz pałacu; czas i na tych ogródkach ślad swój pozostawił, otaczając zielenią małe skały, jeziora i przepaście; porobił rozpadliny w górach i nadał całemu krajobrazowi pozór sztucznej rzeczywistości. Karłowato wyhodowane drzewka, których wzrost potrafił Japończyk wstrzymać, za pomocą niewiadomych mi środków; miały jednakże pozór starości. Stuletnie cykady wypuściły mnóstwo gałęzi i wyglądały, jak palmy o kilku pniach, przedpotopowe rośliny, lub czarne masywne świeczniki, których rozgałęzienia zakończone były świeżą wiązką zielonych pierzastych liści.

Budynek wybrany na własny użytek Taiko-Samy, wielkiego cesarza i zdobywcy, również wzbudzał podziw; malutki, skromny, i otoczony najładniejszym i najbardziej zmanierowanym ogródkiem.

Sala przyjęć, jedna z ostatnich, którą mi pokazano była największą i najwspanialszą, miała około pięćdziesięciu metrów długości, pokrywała ją całkowicie laka i zdobiły szerokie, okazałe fryzy. Żadnych mebli, prócz etażerek z laki, na których dostojni panowie składali broń swą przy wejściu. W samej głębi, po za kolumnadą wznosiła się estrada, gdzie Taiko-Sama udzielał audyencji w odległych czasach, za naszego Henryka IV. Możemy łatwo wyobrazić sobie uroczyste owe przyjęcia; wejście rycerzy w strojach słyszających, w hełmach ozdobionych rogami, zwierzęcemi głowami i przerażającymi figurami; cały niesłychany ceremonial tego dworu. Można wprawdzie na tych obrazach myśl zatrzymać, lecz nie ożyją one już więcej. Są to czasy, nie tylko od nas zanadto odległe, lecz znajdujące się zbyt nisko na szczeblach społecznych ludzkich ras; zanadto przekraczające obręb naszych pojęć i wszystkich przekazanych nam wyobrażeń. Toż samo powiedzieć można o starych świątyniach tego kraju, podziwiamy je, lecz nie pojmujemy, nie możemy sobie wytłomaczyć ich symbolów. Pomiędzy nami, a tą Japonią, różność pochodzenia głęboką utworzyła przepaść.

„Przejdziemy jeszcze przez jedną salę,“ odezwał się do mnie bonza, „a następnie przez szereg korytarzy prowadzących do świątyni pałacu.“

W tej ostatniej sali znaleźliśmy ludzi, ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, wszystkie inne bowiem były puste. Cisza panowała tu jednak taka sama. Ludzie siedzący grupami przy ścianach zajęci pisaniem byli to kapłani, przepisujący modlitwy małymi pędzelkami na arkusikach ryżowego papieru, aby je rozprzeczować pomiedzy ludem.

W tej sali wszystkie malowidła na złotym tle przedstawiały królewskiego tygrysa w rozmiarach cokolwiek przesadzonych, i w różnych pozach, w chwili złości, zasadzki, skoku, odpoczynku, lub snu. Po nad nieruchomie siedzącymi bonzami ukazywały się potężne, rozłożone głowy tygrysa, z wyszczerzonymi kłami.

Mój przewodnik ukłonił się przy wejściu. Znajdując się wśród najuprzejmniejszego narodu na ziemi uważałem za konieczność pójść za jego przykła-

dem. Ukłon, którym odpowiedziano mi przebiegł, jak ogień całą salę wokoło poczem przeszliśmy dalej.

Przez korytarze wypełnione rękopismami i stosami modlitw, doszliśmy do świątyni. Odnaczała się wielkim przepychem; ściany, sklepienia, kolumny, wszystko złotą laską pokryte, szeroki fryz przedstawiał liście i ogromne bukiety rozłożystych piwonij, bardzo misternie wyrzynanych; zdawało się że płatki ich, przy najlżejszym podmuchu rozsypią się i niby deszcz złocisty spadną na posadzkę. Po za kolumnadą kryły się w półcieniu bożyszcze i symbole wśród nagromadzonych skarbów, świętych wazonów i świeczników.

Właśnie była to godzina nabożeństwa (buddyjskiego kultu). Dzwon o głębokich tonach kontrabasu odzywał się powoli na dziedzińcu. Bonzowie w czarnych muślinowych szatach i zielonych płaszczach rozpoczęli według swego rytuału pochód o nadzwyczaj zagmatwanych figurach, poczem stanęli w świątyni. Wiernych znajdowało się bardzo mało, dwie lub trzy grupy zaledwie, które ginęły w olbrzymiej świątyni; na matach leżały wyciągnięte kobiety; przyniosły one z sobą swe przybory do palenia, i gawędząc po cichu, nie mogły się wstrzymać od śmiechu.

Tymczasem dzwon coraz prędzej uderzać zaczął, a kapłani oddawali pokłony swym bóstwom. Tony następowały po sobie coraz to prędzej, drgania bronzu łączyły się prawie, a bonzowie pochylali się do samej ziemi.

Wówczas nastąpiła wśród tych sfer mistycznych chwila, przypominająca mi Podniesienie podczas Mszy Świętej według rzymskiego obrządku. Dzwon odzywał się jak gdyby w uniesieniu, coraz prędzej, nieprzerwanie, frenetycznie.

* * *

Zdawało mi się że zwiedziłem już wszystko w tym pałacu, lecz dotąd nie pojmowałem rozkładu sal, ani planu całości. Pozostawiony sobie, zapewne błądziłbym jakgdyby w labiryncie, nie mogąc odnaleźć wyjścia.

Na szczęście, przewodnik towarzyszył mi do samego końca, i włożył mi sam moje buty na nogi. Przez nowe odludne dziedzińce, doprowadził mnie do starego olbrzymiego drzewa, któremu przypisywano cudowną władzę ochrony pałacu od ognia, w ciągu ubiegłych stuleci; następnie doszliśmy do tej samej bramy przez którą wszedłem, a gdzie oczekiwali moi djinowie. Kazałem zawieźć się do Gos-Sho, starego cesarskiego pałacu, opuszczonego przez mikadów, a wnoszącego się daleko, wśród cichych pustych placów odludnej okolicy. Nęciła mnie chęć wtargnięcia po za te grube mury bez końca, chylące się jak fala.

Sprawdziły się jednak moje obawy; nie wpuszczono mnie, wymawiając się jaknajprzejmiej i zapewniając, że wejście prawie jest wzbronione, a obecnie niemożliwe ze względu na wielkie przygotowania przedsięwzięte dla przyjęcia starej cesarzowej matki, która zamierzyła powrócić do dawnej swej stolicy.

Co za niepowetowana szkoda, że nie mogłem być przedstawiony cesarzowej wdowie. Jak zajmującym było by widzieć i obserwować starą nipońską cesarzową w prywatnym jej życiu, wśród tajemniczych kobiecych jej komnat.

Jakkolwiek nie wzbudziło to we mnie wielkiego zajęcia, musiałem zwiedzić fabryki porcelany, czynne od tylu wieków, i rozsyłające na cały świat, niezliczone tysiące filiżanek i naczyń. Postęp zmian żadnych tu nie dokonał. Zdumiewającą jest prostota, z jaką to wszystko wygniata się, koloruje, toczy i wypala. Między jednym wypaleniem, a drugim, cała gromada malarzy ozdabia te przedmioty

z zadziwiającą szybkością, powtarzając zawsze te same bociany, te same ryby, te same piękne panie, a wszystko to mogło się już sprzykrzyć oddawna.

Malarze tych fabryk płatni są dziennie dziesięć sous przecięciowo, najzdolniejsi otrzymują wyjątkowo czterdzieści do pięćdziesięciu sous, lecz tym powierza się robota najcenniejsza, ozdabiają przedmioty sprzedawane bardzo drogo.

Godną podziwu jest pewność z jaką ci malarze swą sztukę uprawiają. Grupują postacie na porcelanie z pamięci, a z taką szybkością, z jaką przychodzi nam list nabazgrać, nie zmieniając później żadnej linijki, a następnie dorzucają z niedbałą śmiałością swe ozdoby składające się z linij.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Wystawa drukarska w Petersburgu została zamknięta. Dzienniki miejscowe piszą, iż była zwiedzana bardzo licznie przez cały ciąg jej trwania.

— Według dzienników petersburskich kancelarya kredytowa ministerium finansów wystosowała do wszystkich kantorów bankierskich okólnik z ostrzeżeniem, w których zapowiada surową kontrolę co do tego, czy zastawione przez klientów papiery procentowe i akcje znajdują się rzeczywiście w kantorze.

— W osadzie Maryńskiej na dolnym biegu Amura dał się słyszeć około godziny czwartej rano przy zupełnej pogodzie i temperaturze 9° R. silny huk podziemny, któremu towarzyszyło silne wstrząśnienie gruntu, trwające sekund trzynaście.

— Budowa gmachu panoramy warszawskiej ma być skończona w 1896 r. Zajmujący się tą sprawą inżynier Lgocki, który zawarł kontrakt z dwoma firmami zagranicznymi o jej wzniesienie; ma płacić im rocznie po 12,000 marek, lecz w zamian za to po dziewięciu latach budynek wystawy przejdzie na wyłączną jego własność. Obrazy do panoramy Tatr malują się w Monachium w pracowni, wynajętej na ten cel. Kapitałiści miejscowi żądali tak wysokich procentów, że p. Lgocki musiał się zwrócić do zagranicznych.

— Budowa domu przytułku dla rzemieślników miasta naszego, pracować już niezdolnych, nie została dotąd rozpoczęta wskutek nie otrzymania jeszcze decyzji władzy, jaki plac oddanym będzie na ten użytek? Na ostatnim posiedzeniu wydziału przytułków p. Makowiecki podniósł głos, aby urządzać przytułek choćby tylko na kilkunastu rzemieślników w domu prywatnym i wydział poruczył sprawę wyszukania odpowiedniego dla tej instytucji lokalu. Postanowieniem też zostało urządzenie w Sierpniu zabawy, która by potrzebne tu fundusze zwiększyła, smutna to przecież rzecz bawić się na korzyść wspomnienia niedoli, brzmi też w tem dyssonans drażniący.

— Nowy park zakładający się między ulicą Nowowiejską, Polną, Koszykową i szkółką drzew na Koszykach, przeznaczony na urządzenie tu w roku przyszłym wystawy higienicznej, stać się ma zarazem miejscem wszystkich wystaw i zabaw publicznych, jak służył do tego poprzednio plac Ujazdowski. Nowy park obejmie 30,000 sążni kwadratowych, park zostanie przecież powiększonym przez przyłączenie doń szkółki drzewek na Koszykach, obejmującej 10,500 sążni przetrzeni.

— Wystawa wyrobów metalowych jest licznie odwiedzana; ogród instytutu muzycznego otwierać się będzie aż do końca wystawy dla przyjemności zwiedzających ją osób, nie od godziny 4-ej po południu, ale od 10-ej rano. Sąd wystawowy przyznał listy pochwalne pracownikom: firmy Machczyńskiego Ludwikowi Chmielewskiemu, firmy Siarkiewicza Ludomirowi Przybylskiemu, firmy Gwoździńskiego Karolowi Świerczewskiemu. Henryk Strauch i współka otrzymał medal brązowy za sieczkarnią i inne narzędzia do gospodarstwa rolnego, S. Fidelzelt medal brązowy za wagi i zamki elektryczne, Józef Dziejowski medal srebrny za dokładny wybór narzędzi do rżnięcia szrub, wiercenia otworów i obcinania rur.

— W d. 25 ubiegłego miesiąca odprawiono w katedrze krakowskiej nabożeństwo bardzo uroczyste, poczem rozpoczynają się zaraz prace gruntownego odświeżenia starożytnej tej świątyni. Kieruje niemi prof. Sławomir Odrzywolski, który z wielkiem przejęciem się ważnością tej pracy swojej, z zakresem lat kilku, już skreślił plan i kosztorys godnego jej wykonania.

— Nowy dyrektor krakowskiej szkoły sztuk pięknych, Julian Fałat, zamierza zaprosić do grona profesorów szkoły dwóch malarzy: Aksentowicza i Wyczolkowskiego. W ezwanie na tę zaszczytną posadę, zastało go w Berlinie, gdzie wykończył obraz „Puszcza“, osnuty na tle krajobrazów przedstawionych przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu.“

— Towarzystwo upiększenia Krakowa i jego okolic, którego prezesem jest D-r Ferdynand Wilkosz, posiada 4,245 zł. reń. Gorliwa działalność Towarzystwa spotyka się przecież ze smutnymi nawyknięciami mieszkańców, którzy łamią drzewa, wyrwijają pale do których je przymocowano, zabierają sobie ławki, ustawione na drogach publicznych po za miastem dla wygody osób spacerujących. Zapytać przecież można: a czyja to wina? Z oświatą przychodzi i rozbudzenie się tego poczucia piękna, któreby stawało tu do obrony, a zarazem i karność moralna, która przepisom prawa ulegać nam każe.

— Na walnem zebraniu krakowskiego Towarzystwa pedagogicznego prof. Stanisław wygłosił odczyt o znaczeniu czystości powietrza w izbach szkolnych.

— Zjazd cyklistów odbył się w Krakowie w ostatnich trzech dniach ubiegłego miesiąca przy bardzo licznych zebraniach cyklistów tak z całej Galicji i Bukowiny, jak i z Czech i Morawii. Po wyścigach nastąpiło wspólna wycieczka na Bielany, a następnie do Wieliczki z celem zwiedzenia salin.

— We Lwowie odbyły się wyścigi konne za rogatką stryjską, trwające dni pięć.

— Na tegorocznej paryskiej wystawie sztuki, znajdują się obrazy kilku naszych malarzy: Gersona bardzo piękne dzieło „Repos“, Wacława Szymanowskiego „Upał“ i „Idylla“, Kowalskiego „Samotność“ i „Gaik ciernistych krzewów“, Natalii Wiśniewskiej pastel przedstawiający młodą piękną kobietę typow naszych rysów i wyrazu. Wiśniewska zyskała już sobie wyższe uznanie w Paryżu, do odznaczających się też obrazów, zaliczają Okonia: „Stara Bretonka“ i Edwarda Zawiejskiego „Stary kościół“. Artysta ten urodzony jest i wychowany w Paryżu, Okun urodził się w Warszawie, ale od lat młodych wychowany był w Paryżu, podobnie jak i p. Łempicka, której portrety pastelowe są bardzo cenione.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römera. Przekład z niemieckiego, ark. 12.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Pragnienie, przez Selima. — W codziennej walce powieść współczesna St. Ariel. (dalszy ciąg). — Bronisław Hubermann, przez Z. S. (z drzeworytem). — Z Ameryki. — Wrażenia jesienne w Japonii. Święte miasto Kioto, przez Piotra Loti (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römera, przekład z niemieckiego ark. 12-ty. — Przegląd mód. 23 wzorów robót z opisem. — Sekr. ta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.